

Dr. AL. FRUCHTMAN.

## O szerzeniu się chorób zakaźnych.

(ciąg dalszy)

Już dawniej spostrzegano, że tyfus brzuszny z pewnych domów nie ustępuje, że coraz to inne osoby, w nim zamieszkałe zapadają nań, gdy sąsiednie pozostają niezarażone. Szczególna ta okoliczność, której przyczyny dawniej dopatrywano się we własnościach gruntu, na którym nieruchomość stała, znajduje dziś wytłumaczenie inne, zasadnicze. Oto u niektórych osób, które przebyły tyfus brzuszny, pozostają przez cały szereg miesięcy w kiszkiach laseczniki, które mnożą się i stale bywają wydzielane, nie tracąc nic na swej sile zaraźczej. Osoby takie, uważane dziś za siewców zarazków, nad którymi na Zachodzie rozciąga się już stały nadzór sanitarno-lekarski, które się rejestruje i których wypróżnienia poddaje się co pewien okres czasowi badaniu, stanowią największe niebezpieczeństwo dla sprawy szerzenia się tyfusu, mogą bowiem, w braku tej kontroli, ujść uwagi i z tem większą łatwością, przenosząc się z miejsca na miejsce, przenosić zarazę. Do tejże grupy chorób kiszkiowych należą panująca u nas epidemicznie czerwotka (dysenterja).

Do drugiej grupy chorób zakaźnych t. zw. nosowo-gardłowych, mających swe siedlisko w narządach oddechowych, zaliczamy: gruźlicę, błonicę, influencję, nagminne zapalenie opon mózgowo-rdzeniowych. Charakterystycznym tu dla szerzenia się tych chorób jest to, że zarazek gnieździ się na błonie śluzowej migdałków, gardzieli i nosa oraz w płucach i że przy kaszlu i kichaniu zarazek szybko i w dużych ilościach zostaje wydalany. Warunki, w jakich z przedmiotów wilgotnych, jak ślina, śluz, płwocina, dostaje się on do powietrza, są zbadane dokładnie. Znane są również te ilości laseczników, jakie się przedostają tą drogą do powietrza. W gruźlicy np. liczba ta dosięga 20,000 w ciągu 1 godziny. Wiadomo też, że wykrztuszane czy też wyrzucane z nosa kropelki (t. zw. zakażenie kropelkowe) unoszą się niezbyt daleko od chorego, co najwyżej w oddaleniu 80 ctm. i że w krótkim stosunkowo czasie opadają i przyklejają się, przez co niebezpieczeństwo zarażenia się drogą oddychania znakomicie się zmniejsza, natomiast daleko łatwiejszym bywa wówczas zarażenie przez bakterje, przylegające do odzieży.

I w tej grupie chorób zakaźnych zdarza się często, jak. np. w błonicy, nagminnem zapaleniu opon mózgowo-rdzeniowych, że rekonwalescenci po przebytej chorobie, lub ci, o których chorobie nie wiadano, ukrywają przez długi okres czasu laseczniki tych chorób i są tym sposobem również „siewcami zarazy“, jak to zaznaczyliśmy wyżej w tyfusie, cholerze, czerwonce. Wymaga to więc wielkiej czynności ze strony urzędów sanitarno-lekarskich. Kilkakrotnie podjęte badanie śluzu, zebranego z migdałków, gardzieli, nosa wskaże nam, oczywiście, czy mamy do czynienia z siewcami zarazy, czy też nie.

Wogóle powiedzieć można, że *powietrze nie może być uważane za środowisko zarazy*, stąd też ostatnimi czasy na Zachodzie chorych, dotkniętych rozmaitemi chorobami zakaźnymi, umieszcza się w szpitalach na jednej i tej samej sali, oddzielając ich niskimi ściankami (t. zw. boxy).

Zarazki takich chorób, jak ospa, odra, płonica (szkarlatyna) nie są nam dotąd znane. Z epidemiologii ich jednak możemy wnioskować, że własności tych zarazków są identyczne z wyżej wymienionymi, z tym jedynie wyjątkiem, że zarazki znajdują się ponadto w luszczącym się naskórku i że w stanie suchym za pomocą pyłu z łatwością mogą być przenoszone (z odzieżą).

Zarazek zimnicy (malarji), występujący dziś u nas już epidemicznie, przenoszony bywa z człowieka na człowieka przez komary, zarazek zaś tyfusu plamistego i powrotnego również z człowieka na człowieka przez wszy i pluskwy, co zostało niezbicie stwierdzonem całym szeregiem badań.

Waglik (karbunkul), nosacizna i wścieklizna stanowią choroby zwierząt i tylko przypadkowo bywają przenoszone na człowieka.

Z powyższego łatwo już chyba wywnioskować, co należy rozumieć dziś pod nazwą „genius epidemicus“ (cecha epidemiczna) której w ubiegłych stuleciach doszukiwano się

w gwiazdozbiorach, powietrzu, substancjach chemicznych.

Gdyby wiadomości te o powstawaniu i szerzeniu się chorób zakaźnych przeniknąć mogły do szerokich mas ludności, stanowiłoby to niewątpliwie jeden z najważniejszych postępów w zwalczaniu tych chorób, zależnem w znacznej mierze od uświadomienia ogółu i współdziałania jego z władzami sanitarnymi.

Ponieważ za punkt wyjścia wszelkiej zarazy uważamy chorego człowieka, walkę więc z chorobami zakaźnymi powinniśmy od tego chorego zaczynać. Przez odosobnienie go, przeprowadzone ściśle według zasad i wymagań nauki, staramy się przeszkodzić szerzeniu się zarazy. Ażeby cel ten osiągnąć, potrzeba, aby ludność, z niczem nieusprawiedliwioną obawą przed leczeniem szpitalnem, przed izolowaniem od otoczenia, przed potrzebą dokonania desynfektacji, nie ukrywała choroby, jak to dziś czyni zwykła. Potrzeba też, aby chorzy znajdowali na salach szpitalnych taką opiekę, o jakiej w domu własnym marzyliby nie mogli. — Bakteriologia wykazała nam, gdzie szukać należy przyczyny chorób zakaźnych. Nie są one już tak straszne, nie są wrogiem, wobec którego stoimy bezradni, szukając ratunku w ucieczce. Cholera, tyfusy, ospa usiłowały już niejednokrotnie na dobre zakwaterować się u nas, zawsze jednak spotykały nas uzbrojonych i do walki z nimi przygotowanych. Śmiało dziś rzec możemy, że obawiają się chorób zakaźnych jedynie mało uświadomieni, laicy. Podobnie, jak zajęty pracą bakteriologiczną w laboratorium swem operuje najbardziej groźnymi nawet zarazkami z zupełnym spokojem, wiedząc, iż przy zachowaniu odpowiednich środków ostrożności, zarazić się nie może, tak również i lekarz bez obawy spieszy do łóżka każdego chorego zakaźnego, nie obawiając się zarażenia, które może nastąpić jedynie u ludzi zawszonych i w mieszkaniach niechlujnych. Spodziewać się też należy, iż niedaleką jest chwila, gdy wszelkie zarządzenia higieniczne i zabiegi, mające na celu zwalczanie chorób zakaźnych spotkają się u ludności nie tylko z życzliwością, lecz z tem również zrozumieniem, że wszystko, co się w tym kierunku robi, robi się dla jej dobra, że zabiegi te traktowane będą, jak tego powaga położenia wymaga.

## Jak się ustrzedz od kradzieży.

## Złodzieje wiejscy.

Osobną klasę rzezimieszków i złodziei, składają t. zw. łapichłopy, operujący wśród ludności wiejskiej t. j. odciętej od większych miast i z tego powodu najmniej orjentującej się i rozgarniętej. Pod nazwą ludności wiejskiej rozumiem także osadników, jacy zakładają gospodarstwa rolne w rozmaitych zakątkach Stanów Zjednoczonych. Oderwani od świata, mało inteligentni i odzwyczajeni od obcowania z ludźmi, stanowią wyborny materiał dla złodziei specjalistów.

W Europie — studjowałem to — złodzieje wiejscy, dzięki tamtejszym urządzeniom bezpieczeństwa, ma zadanie bardziej utrudnione. Zandermerja, policja polowa i gminna, stróże nocni i istniejące w wielu państwach dyżury nocne obywateli, stają na przeszkodzie rozwojowi kradzieży po wsiach. W Niemczech, kraju prerafinowanym pod względem ostrożności i dbałości o własność, fachowych złodziei wiejskich niema wcale. W Ameryce natomiast, gdzie istnieje mnóstwo osad osamotnionych i złożonych z ferm wciśniętych w głąb przestrzeni leśnych, istnieje raj dla łowców cudzego dobra.

Przed laty kradzieże koni, bydła oraz wogóle inwentarza, zwalano na Indjan. Dziś, gdy wolne obozy i tabory indyjskie należą prawie zupełnie do przeszłości, kradzieże i rabunki po wsiach pomimo to mnożą się w sposób godny uwagi. Coś podobnego można było jedynie notować w dawnej Rosji, gdzie niedbalstwo chłopów szło w parze z całkowitem zaniedbaniem bezpieczeństwa ze strony państwa i policji.

Winienem też zaznaczyć, iż sława Skandynawji oraz Finlandji, jako krajów żgola wolnych od kradzieży po wsiach, wyrosła z pobudek jednostronnych. Nie czynię bynajmniej ujmę uczciwości wieśniaków tamtejszych, lecz podziwiam raczej ich zdolność do kojarzenia się w obliczu

rabusiów. Złodziej w Szwecji i Norwegji śmiało można rzec, utracił rację bytu z chwilą, gdy nie tylko wsie i gminy, lecz kraj cały zamieniły się w organizację samoobrony. Złodziej konia lub krowy nie ma się poprostu gdzie ukryć. Nie odprzeda skradzionej sztuki inwentarza żywego, zboża lub odzieży, gdyż chłop skandynawski natychmiast go wysledzi i odda w ręce policji. Tam trzeba udowodnić prawowitą własność zbywanego przedmiotu. Przepisy policyjne są bardzo proste i łatwe do przestrzegania.

Przytoczę drobny przykład. W roku 1908 bawiąc w porze letniej w Chaparancie po stronie szwedzkiej, byłem świadkiem takiego zdarzenia. Na najbardziej wysuniętym na północ cyplu Finlandji grono przybyłych z Wybarga oficerów rosyjskich polowało na ptactwo. Jeden z żołdatów wysiany po żywność do Torneo, (jak się później dowiedziałem) pieniądze roztrwonil na pijaństwo. Ze strachu o następstwa, skradł komuś na wsi konia, przeprowadził przez rzekę i w naiwnej pewności, że mu się to uda, powiodł do Szwecji, na rynek do czystochnego miasteczka Chaparanty.

Pierwszy przechodzień, jaki spotkał żołnierza, zadał mu zapytanie:

— Dokąd to?

— Idę sprzedać konia.

— Twój koń?

— Czyżże; wiadomo że mój.

— Jakże się twój koń nazywa?

Żołdat wzruszył ramionami.

— Dziwne zapytanie; wcale się nie nazywa.

Żołnierz znalazł się w rękach policjanta gminnego. Przyparty do muru zeznał, że konia ukradł i wskazał miejscowość. Pchnięto posłańca do Finlandji. Po upływie kilku godzin zgłosił się chłop fiński. Teraz policjant pragnął sprawdzić, czy ów jest istotnie właścicielem konia, tymczasem ukrytego w szopie.

— Jak wygląda twój koń?

Chłop go dokładnie opisał.

— A jak go wabisz?

— Josi.

— To zawołaj na niego.

Chłop krzyknął ze wszystkich sił: „Josi!“ Z szopy dało się słyszeć radosne rżenie. Własność została stwierdzona, złodziej poszedł do aresztu.

Osadnik amerykański, w braku dostatecznej opieki policyjnej, sam musi dbać o bezpieczeństwo mienia. Rząd nasz dzisiejszy energicznie występuje przeciwko uprzywilejowanym samosądom zwanym „prawem lynch'u“. Naturalnie jest to samowola, której w państwie kulturalnem tolerować niepodobna. Lecz wejśćmy w położenie osadnika, któremu jeden i ten sam złoceńca skradł piątego z kolei, lub szóstego konia lub wołu. Zrozpaczony posłał za wiadomościem do najbliższego miasta o pomoc i ratunek, tam odpowiedziano:

— To trudno; do walki z jednym złodziejem niepodobna przysłać oddziału policjantów. Staraj się jak możesz.

Osadnik stara się więc. Zaczął się z domownikami i albo rabusia zastrzelił lub schwytał go i powiesił na gałęzi. Prawo amerykańskie odróżnia wprawdzie zabójstwo tego rodzaju od zbrodni z premedytacją. Tem niemniej kolonista został zapozwany do odległego sądu, nieraz osadzony w więzieniu prewencyjnym, stracił nie mało zdrowia i czasu, zanim go uwolniono.

Rząd Stanów Zjednoczonych, zwłaszcza w ostatnich czasach, bardzo energicznie przeciwdziała „prawu lynch'u“, czy jednak stara się jednocześnie o ustalanie bezpieczeństwa publicznego na całym obszarze państwa? Prawdę mówiąc, warunki zaprowadzenia policji wszędzie a już na kresach i w okolicach odludnych, czynią te usiłowania zgola niemożliwymi. System obecny wysyłania wycieczek karnych, nawet z udziałem wojska, nie prowadzi do celu. Zdarza się, iż wobec znacznej odległości, braku dróg i t. p. oddział — wezwany alarmem do sprawy pilnej jak np. zbiorowy napad bandytów, — przybywa na miejsce po upływie dopiero kilku dni, gdy z budynków zostały zgłiszczą lub z ludności już rozłożone trupy. Zdarza się nawet, iż w wypadku manifestacyjnego, ostrego strajku w odległych kopalniach, gdy zachodzi konieczność wysłania sił poważniejszych, władza stanowa zwraca się o decyzję do sekretarjatu (ministerstwa) spraw wewnętrznych, który żąda osobistej decyzji prezydenta.

Czy wobec tego można się dziwić, iż ludność terroryzowana chwytą się środka ostatecznego jak samosąd? (D. c. n.)